

Adam Kucharski

Wybór

Z „*Fahrenheit*”

Część nocy przespał spokojnie. Obudził się niespodziewanie trzy godziny przed pierwszym brzaskiem. Początkowo leżał mając otwarte oczy i próbując dojrzeć cokolwiek w kłębiących się pod sufitem ciemnościach. Nasłuchiwał odgłosów nocy, ale dopiero po dłuższej chwili zorientował się co go zbudziło. Zwierzęta w zagrodzie hałasowały, mocno czymś zaniepokojone.

Wstał i po ciemku narzucił ubranie, które jak zwykle leżało na krześle obok łóżka. Zanim wyszedł, wyjrzał przez okno. Na bezchmurnym niebie świecił księżyc, zalewając wszystko dookoła strumieniami srebrnej poświaty.

Wyszedł przed dom i zatrzymał się tuż za progiem. Noc była ciepła więc nie czuł chłodu. Idąc w stronę zagród obserwował jak jego cień przesuwa się po ścianach budynków i po ziemi dopasowując się idealnie do każdej nierówności powierzchni.

Kiedy dotarł do zagrody, zwierzęta uspokoiły się.

– Pewnie to nic takiego. – pomyślał, ale stał tam jeszcze przez dłuższą chwilę nasłuchując i próbując przebić wzrokiem ciemności zalegające pobliską puszcę.

Zrobił w tył zwrot z postanowieniem powrotu do łóżka, ale wciąż coś go trzymało na zewnątrz. Postąpił w stronę lasu jeden krok, potem drugi, a po nim następny. Zanim się obejrzał był już wśród drzew. Posuwał się wciąż naprzód, ale miał wrażenie jakby nie działa się to naprawdę. Myśli krążyły w głowie ociężałe niby podczas snu. Nogi, choć wydawały się cięższe niż zwykle, niosły go wytrwale przed siebie.

Nagle, tak po prostu, odzyskał władzę nad ciałem. Ustąpiła też ociężałość myśli. W umyśle pojawiło się oczekiwanie. Niecierpliwie oczekiwanie na wspaniałe wydarzenie, o którym wiadomo, że nastąpi już za chwilę. Nie wiedział tylko co to będzie.

Rozejrzał się po miejscu gdzie się znajdował. Była to polana jakich wiele w lesie. Jediną różnicę stanowił rozłożysty i wiekowy dąb. Szeroki pień pośrodku polany podtrzymywał imponującą koronę liści.

– Ciekawe. – pomyślał. – Zupełnie nie pamiętam tego miejsca, a przecież nie mogę być zbyt daleko od domu.

Zrobił dwa kroki w stronę samotnie stojącego drzewa. Wtedy gałęziami poruszył wiatr. Po chwili szum liści zaczął układać się w słowa, a te w zdania, z których każde zdawało się zapadać gdzieś głęboko w pamięć.

– Jesteś tym, który został wybrany. – Mówiły korony drzew otaczających polanę. – Jesteś wyjątkowy, a my damy ci CEL. Słuchaj!

Słuchał, stojąc nieruchomo. Nie zapamiętał słów, ale wkrótce wiedział co ma zrobić.

Podszedł bliżej dębu i spostrzegł w pniu dużą dziuplę. Sięgnął ręką do środka i wyciągnął miecz o długim ostrzu i prostej, nieozdobnej rękojeści, tarczę nabijaną metalowymi ćwiekami, hełm i napierśnik. Założył ten ostatni, w lewą rękę ujął tarczę a w prawą miecz. Na głowie czuł ciężar hełmu. Nigdy nie używał broni, ale teraz nagle wiedział jak trzymać tarczę i jak zadawać ciosy. Wszystkie te czynności wydawały mu się naturalne, a ich wykonanie nie sprawiłoby kłopotu.

Czuł przepelniającą całe ciało energię, która chciała znaleźć ujście. Odwrócił się na pięcie i puścił biegiem. Upajał się pędem powietrza i każdym kolejnym krokiem. Nie czuł wilgotnych od nocnej rosy gałęzi smagających go liśćmi po twarzy.

Dotarł do przecinającej las drogi. Zatrzymał się w porastających jej brzeg chaszczach. Z lewej strony usłyszał odgłosy zbliżającej się grupy. Zdziwił się, że ktoś podróżuje nocą i to tylko przy świetle księżyca, bez pochodni czy latarni. Do uszu nie docierał stukot kopyt wierzchowców więc podróżni, kimkolwiek byli, poruszali się pieszo. Wkrótce mógł zobaczyć ich sylwetki oblane blaskiem księżyca.

Cała dotychczasowa euforia opuściła go w jednej chwili. Jej miejsce zajęła rosnąca odraza do zbliżających się ludzi.

Widział już postacie, których doliczył się pięciu. Każda z nich zdawała się nie poddawać światłu księżycy. Wyglądało to tak jakby je wchłaniali sami nie rzucając cieni na drogę.

Wiedział teraz, że jest tu by stawić im czoła. Kiedy więc wędrowcy zrównali się z nim, a potem go minęli, wyskoczył na drogę z dobytym mieczem. Ani on, ani zaatakowani nie wydali żadnego odgłosu. Nie padło ni jedno słowo czy okrzyk. Następne wypadki potoczyły się w ciszy przerywanej jedynie szczękiem oręża i przyspieszonymi oddechami walczących.

Tylko pierwszy z wędrowców, najbliższy atakującemu, dał się całkowicie zaskoczyć. Osunął się na ziemię brocząc krwią z rozciętej szyi. Pozostali zdołali dobyć broni. Napastnik rzucił się na nich z furią. Zadawał ciosy błyskawicznie, po czym robił równie szybkie uniki. Już drugi z zaatakowanych leżał na drodze krwawiąc z kikuta prawej ręki. Jego dłoń, wciąż zaciśnięta na rękojeści miecza, spoczywała obok. Trzeci osobnik klęczał na drodze, oburącz trzymając się za brzuch.

Wtedy szczęście postanowiło dać szansę pozostałym przy życiu dwóm mężczyznom. Jednemu z nich udało się zająć napastnika od tyłu. Wprawdzie hełm wytrzymał cios, ale ogłuszony człowiek osunął się na kolana. To wystarczyło.

Kopnięcie w twarz przewróciło go na plecy. Poczul ostrze zagłębiające się w boku i wtedy ogarnęła go ciemność.

Zwycięzcy, a właściwie ocalali, stali przez chwilę nieruchomo. Spoglądali na pobojowisko. Wreszcie ten, który zadał cios poruszył się. Wytarł ostrze miecza wiechciem trawy i schował go do pochwy.

Bez słowa obaj ruszyli w dalszą drogę, nie oglądając się za siebie na ciała leżących.

Ocknął się z twarzą w trawie rosnącej przy brzegu drogi. Z trudem doczołgał się do najbliższego drzewa i z wysiłkiem usiadł opierając się o jego pień. Pomacał ręką po zranionym boku, który przypominał o sobie nieznośnym bólem. Poczul, że palce lepią się od krwi – jego krwi. Przypuszczał, że utracił jej sporo. Czul ociążałość w całym ciele i wydawało mu się, że nie ma sił do zrobienia jakiegokolwiek ruchu.

Począł macać dookoła rękoma aż znalazł solidny konar, z którego pomocą mógł stanąć na nogach.

– Może nie będzie tak źle. – pomyślał. Wtedy zakreśliło mu się w głowie. Z trudem utrzymał równowagę.

Wspierając się na swojej zaimprovizowanej kuli zagłębił się w las. Chciał wrócić na polanę, gdzie wszystko się zaczęło. Wierzył, że tam znajdzie ratunek.

Droga, którą przebył poprzednio biegiem z taką radością, teraz wydawała się nie mieć końca. Każdy krok, korzeń czy dziura w ziemi przypominały o odniesionej ranie. Do celu dotarł zupełnie otepiały i resztkami sił.

Liście nadał szumiały hipnotyzująco. Poczul więc ulgę, ale nie na długo. Przed dębem, w miejscu gdzie jeszcze nie tak dawno znajdował się on sam, stał mężczyzna. Stał tam wyprostowany, nieruchomy i zasłuchany.

– Zupełnie jak ja. – pomyślał i ta myśl eksplodowała mu w głowie. „Jak ja, jak ja...” Oszołomiony, osunął się na ziemię puszczając kostur. Siedział plecami oparty o pień najbliższego drzewa.

– „Jesteś tym, który został wybrany” – usłyszał. – „Jesteś wyjątkowy, a my damy ci CEL. Słuchaj!”

Chciał krzyknąć, ostrzec, ale zamiast tego zaniósł się śmiechem. Z gardła wydobył się jednak tylko chrapliwy odgłos w niczym śmiechu nie przypominający. W tym momencie opuściły go resztki sił. Pochylił się do przodu i upadł twarzą w paprocie.

– „Jesteś wyjątkowy. Słuchaj!” – szumiały liście.

Więc słuchał.